

ODA

Zaś inni mówili, że korzeń,
który pośród skamielin dat,
przywyożaję i ustaw
niby wąż mądry kluczył
i wijąc się szukał szczelin —
prosty nie jest...

O prosty pniu drzewa partii —
drogowskaze myślom lotnym!

Zaś inni mówili, że kora,
która broni przezroczystych soków krążenia
szorstkim pancerzem brązowym
przed zamianą w obłok
lub zakrzepnięciem w nieruchomość łożu —
delikatna nie jest...

O czuły pniu drzewa partii —
oparcie plecóm zmęczonym!

Zaś inni mówili, że konar najwyższy,
którego wspinały pióropusz szumiący
dla wszystkich z daleka widoczny —
to całe drzewo — i soków dopływ odcięli
aż wysechł w czarny szkielet chwiejny
i odpadł martwy...

O żywy pniu drzewa partii —
o żywy pniu drzewa partii!

Zaś inni mówili, że gałąź,
która ząbki pęków zielonych wypuszcza,
a potem tańczy na niej płomyki czerwone liści
i startują stąd żagle brązowe
niosąc z wiatrami nasienie —
jednobarwna nie jest...

O tożsamy pniu drzewa partii —
dowodzie trwałości słuszności!

XX rocznica
powstania PPR

20 lat temu powstała PPR — partia, która wytyczyła nową orientację polityczną państwa polskiego oraz nowych socjalistycznych stosunków społecznych. Że wybór słuszny, potwierdza niebawem w historii rozkwit gospodarczy Polski Ludowej. Jego wielkość ocenić można najlepiej w zestawieniu z rozwojem gospodarczym naszego kraju po pierwszej wojnie światowej.

Dwie drogi

Start był mniej więcej podobny. Zarówno w latach 1914—18 jak i w latach 1939—45 przez ziemie polskie przetoczył się potworny — rujnujący gospodarkę i wyniszczający ludność walec wojny — z tym tylko, że w czasie drugiej wojny światowej zasięg tych zniszczeń był bez porównania większy, a więc i możliwość odbudowy sił wytwórczych kraju do poziomu przedwojennego trudniejsza. A jednak!...

Zarówno po I jak i po II wojnie światowej odbudowa kraju wymagała ogromnych środków finansowych. Skarb państwa był pusty, kopalni złota nigdy nie posiadaliśmy, kolonii, które by można eksploatować — także nie. Wyłonione po wojnach rządy miały więc do wyboru

GW

Poznań
7. I. 1962
Nr 13 Rok II

TYGODNIA

DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Piotr Chojnacki

Alternatywa

banków itp. oraz wprowadzenie planowej gospodarki w celu mobilizacji wszystkich rezerw wewnętrznych i wysiłków społeczeństwa do odbudowy i rozbudowy kraju.

W pierwszym przypadku, kapitał prywatny musi mieć gwarancje co do trwałości państwa i ustroju oraz pewność, że zyski będą maksymalnie wielkie. W drugim przypadku powstaje konieczność obalenia klas posiadających i objęcia władzy przez ludzi pracy.

W roku 1918 spłót wydarzeń sprawił, że Polska obrała pierwszą z tych dróg. W roku 1945 — na skutek zwycięstwa programowej linii PPR — poszła drugą drogą.

Zamiast odbudowy — wojna

Rząd polski, ukonstytuowany pod egidą Józefa Piłsudskiego po wyborach do sejmiku w styczniu 1919 r., zamiast skupić wszystkie siły i środki młodego państwa do scalenia odrębnie wykształconych w swej strukturze gospodarczej i zrujnowanej wojną ziem trzech zaborów rozpoczął wojnę z młodą Republiką Rad.

Ile ona kosztowała? — dokładnie nie obliczył nikt. Wielkość kosztów można się tylko domyślać. Większość środków gromadzonych przez skarż, zamiast na odbudowę kraju — wydatkowano bezopiecznia na armię i wojnę: oficjalnie ponad 50 proc. wydatków budżetowych, nie licząc sum kamuflowanych w budżetach innych ministerstw. Celem wojennym podporządkowana została też cała gospodarka, także kredyty towarowe i pomoc zagraniczna w wysokości prawie 300 mln dolarów.

Wszystko to opóźniło odbudowę gospodarczą Polski, pogłębiło istniejące już trudności (wojna spowodowała nowe zniszczenia) i obciążało poważnie gospodarkę kraju w latach następnych. Tym bardziej, że jednocześnie zaprzepaściliśmy szanse Powstań Śląskich, plebiscytu na Warmii i Mazurach, a częściowo nawet Powstania Wielkopolskiego. Nie korzystne granice dwudziestolecia miały też wpływy na ekonomikę kraju.

W interesie właścicieli

W 5 lat po zakończeniu pierwszej wojny światowej — w roku 1923 produkcja przemysłowa Polski

nie osiągnęła nawet poziomu produkcji ziem z roku 1913 (węgiel — 88,6 proc., surówka żelaza — 49,2 proc., stal — 69,9 proc.). Co gorsza, wyraźnie zarysowywała się tendencja do spadku i tak niewielkiej produkcji wytwórczości. Nietrwałość rządów i ich awanturnicza polityka zagraniczna (po wojnie z Rosją radziecką, zatargi z Litwą i Czechosłowacją) oraz wewnętrzna (ekspedycje karne i sądy doraźne przeciw buntującym się robotnikom i chłopom) spowodowały, że kapitałści rodzimi i obcy nie chętnie lokowali swe kapitały w

Polsce, mimo, iż ówczesne rządy udzielały im daleko idących gwarancji i możliwości uzyskiwania kolosalnych zysków.

Chcąc przyspieszyć odbudowę przemysłu, państwo uruchamiało niekiedy opuszczone prywatne przedsiębiorstwa, które po pewnym czasie przechodziły w ręce poprzednich właścicieli. W praktyce była to jeszcze jedna forma pomocy dla prywatnego kapitału. Ciężar tej pomocy spadał naturalnie na barki ludzi pracy.

Najwięcej nękały jednak ludność w tym okresie: rosące bezrobocie oraz szalejąca inflacja idąca w parze z postępującą drożyzną. Godzi się przytoczyć tu niektóre fakty z tamtych czasów. Chciałoby dla przeświadczenia tym wszystkim, którzy boczyli się na twardy reżim finansowy wprowadzony przez nasz rząd po r. 1945. Przecież to tak nietrudno puścić na pełny bieg maszyny drukujące nowiutkie setki i pięćsetki!...

Po I wojnie światowej, kapitalistyczne rządy tak właśnie zrobiły. Jeśli w roku 1918 w obiegu znajdowało się 1.024 mln marek polskich, to w roku 1923 — przy minimalnym tylko wzroście produkcji — tych marek było już 125.371.955 milionów. A wynik?

Np. w styczniu 1921 roku mięso kosztowało w Warszawie 100 marek, a w czerwcu 1923 roku — już 6.414,8 marek. W roku 1918 za dolar płacono 9 marek, w roku 1920 — 6.375.000 marek.

Prawda, istniał wówczas urzędowy wskaźnik cen do którego pracodawcy mieli obowiązek dostosowywać płace, od czego jednak prawne kruczki: wzrost płac nigdy nie rekompensował wzrostu cen. Zyskiem z krzywdy robotnika i chłopów dzieliło się więc kapitalistyczne państwo z kapitalistycznym przedsiębiorcą.

Na inflacji zyskiwali jednak właściciele fabryk i wielkich majątków ziemskich. Wziąwszy w roku 1918 bądź 19 kredyty na odbudowę czy rozbudowę swych posiadłości, spłacali je później bezwartościowym pieniądzem. Jak obliczyli przed wojną fachowcy, państwo straciło w tym okresie blisko 110 mln dolarów z tego 91 mln na rzecz prywatnego kapitału.

Droga PPR

Inaczej po drugiej wojnie światowej. Co prawda i po roku 1944 działały w naszym kraju siły pryncypialne do awantur ze Związkiem Radzieckim, lecz nowa władza ludowa potrafiła je okiełznać. Rząd stworzony po kierownictwem PPR, około trzy czwarte wydatków budżetowych przeznaczał na odbudowę kraju ze zniszczeń wojennych. Temu celowi służyły też wszystkie uzyskiwane kredyty zagraniczne i inne środki pomocy.

W 5 lat po zakończeniu II wojny światowej, w roku 1949, Polska kierowana przez rządy sformowane pod kierownictwem Polskiej Partii Robotniczej zakończyła w zasadzie trudny okres odbudowy kraju. W okresie tym przeprowadzone zostały epokowe reformy: reforma rolna, nacjonalizacja przemysłu, transportu, banków. Wygrana została „bitwa o handel”. W dużej mierze zagospodarowane zostały poważnie zniszczone w ostatnich miesiącach wojny ziemie odzyskane. Produkcja przemysłowa wysoko przekroczyła poziom przedwojenny 1937 roku.

W grudniu 1948 r. na Kongresie jednoczącym politycznie polski ruch robotniczy można było rozpocząć publiczną dyskusję nad zarysami 6-letniego planu wielkiego uprzemysłowienia kraju. Planu, który zapoczątkował historyczny proces wyrwania Polski z wiekowego zacofania techniczno-kulturalnego i postawił ją w rzędzie uprzemysłowionych państw Europy. Lecz to już temat do odrębnego artykułu.

ZWIERZENIA GOSPODARZA

Na kalendarzu — nowy rok. Za nami większość podsumowań dotychczas minionych 12 miesięcy. Obecnie wybiegamy już raczej myślą wpród, usiłujemy odpowiedzieć sobie na pytanie: co może nam przynieść nowy okres pracy w różnych dziedzinach życia? To sformułowanie było i naszą myślą przewodnią podczas rozmowy z przewodniczącym Prezydium Rady Narodowej m. Poznania — Jerzym Kusiakiem.

— Najbardziej interesują poznaniaków sprawy z dziedziny tak zwanej gospodarki komunalnej. Jakże zatem są zamiary władz miejskich w zakresie realizacji planów budowy trasy Chwaliszewskiej, poszerzenia niektórych głównych ulic lub poprawy stanu ulic periferyjnych?

— Z dużą uwagą śledzę dyskusje „Głosu” na te tematy. Gdyby jednak zliczyć życzenia mieszkańców, niewątpliwie słuszne i uzasadnione, trzeba by zatrzęsnąć planowany wzrost realnych płac albo całkowicie cofnąć nakłady na budownictwo mieszkaniowe, a i tak jeszcze nie spełniłoby się wszystkich postulatów. Dlatego nasze zamierzenia zależą nie tylko od funduszy i środków, ale również od możliwości samego wykonania.

Wszyscy wszak wiemy, jak pilna dla Poznania jest sprawa wody. W tym roku wodociąg osiągnął szczyt swej wydajności — 100.000 m sześciu na dobę, podczas gdy minimalne zapotrzebowanie wynosi 116 tys. m³. Rozwiązanie problemu tkwi w budowie nowego ujęcia wody. Koszt tej budowy obliczono na 280 mln. zł. Ponadto, do tej pory nie mamy jeszcze dokumentacji urządzenia doprowadzającego wodę do miasta, a jak wiadomo, cykl przygotowania dokumentacji wynosi dla obiektu tego typu kilkanaście miesięcy. Oto więc pierwsza inwestycja, którą trzeba będzie rozstrzygać etapami.

Inny przykład. Czytałem w „Głosie” zarzut, że budowa torów tramwajowych na ul. Towarowej jest zbyt późna, że bardziej potrzebna byłaby trasa ul. Hetmańskiej. Autorowi tego sformułowania mógłbym odpowiedzieć, że jeśli nie ma własnego samochodu i nie posiada także pieniędzy na jego zakup — musi się przecież zadowolić rowem. Podobnie ma się sprawa z ul. Hetmańską, która ma kosztować grubo ponad 200 mln. zł. Tymczasem na budowę linii w ul. Towarowej wydamy nieco ponad 2 mln. zł.

Skomplikowane jest także zagadnienie trasy Chwaliszewskiej. Jej koszt wyniesie około 156 mln. zł. Oto dlaczego pragniemy i tę inwestycję realizować etapami. Zaczniemy od sprawy najważniejszej — budowy mostów, które przez 16 lat nie doczekały się należytej odbudowy. Nasuwa się tutaj analogia z trasą Marchlewskiego. Wprawdzie brak jej zakończenia od strony zachodniej i od wschodniej, ale gdyby nie budowa etapami — kto wie, czy w ogóle mieliśmy dziś Most Marchlewskiego i całą arterię? A przecież trasa ta spełnia już swoje zadanie!

W tym roku rozpoczniemy też przebudowę ulicy Grunwaldzkiej.

I wybaczenie, że sięgnę znów po argumenty jednej z naszych gazet. Atakowano nas, że niecelowy jest remont linii tramwajowej przeprowadzony w ub. roku na tej ulicy, że rozsądniej byłoby od razu przełożyć tory z chwilą rozpoczęcia poszerzenia ulicy. Przyjęcie takiej koncepcji spowodowałoby całkowite zamknięcie ruchu na sporym odcin-

Rozmowa z przewodniczącym Prezydium Rady Narodowej m. Poznania Jerzym Kusiakiem

ku ul. Grunwaldzkiej na okres chyba dwu lat. Najpierw przystępujemy więc do przebudowy lewej jezdni — jadąc od miasta, w drugim etapie — równoległe do obecnych torów — położymy nowe, a następnie ułożymy drugą jezdnię, prawą. Przez cały czas remontu zostanie więc na tej ulicy utrzymany normalny ruch.

Ważną inwestycją ma być budowa trasy przez Dolną Wildę. W tych dniach zapadła decyzja Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów o perspektywach rozwoju HCP. Dla

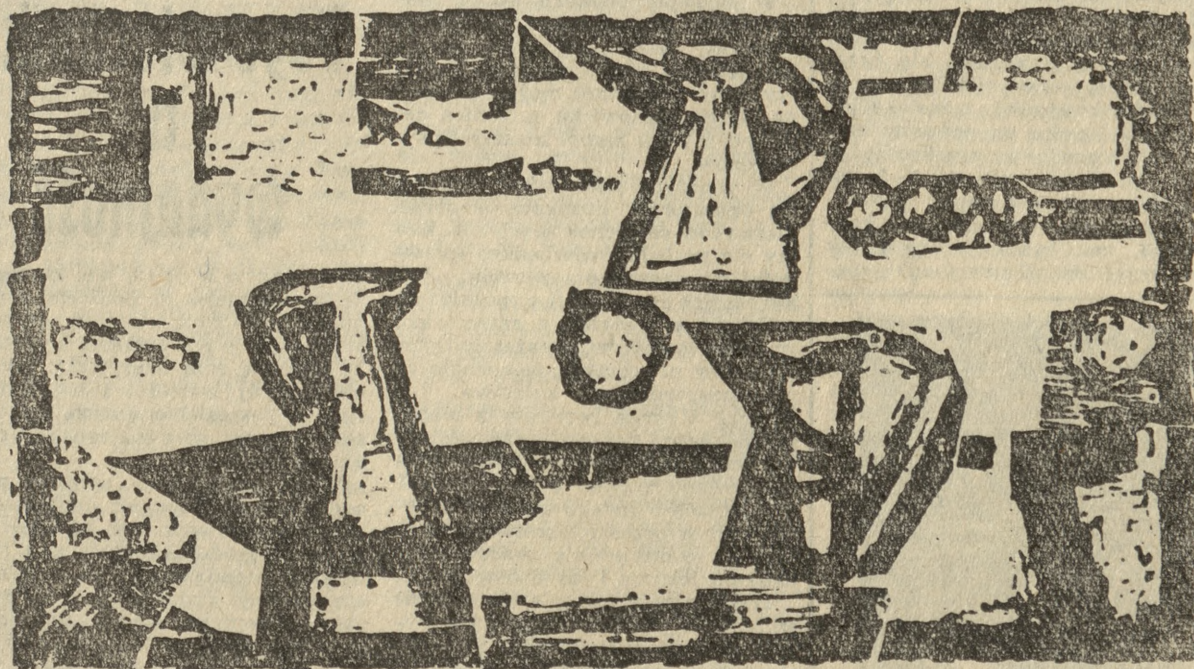
miasta uchwała KERM ma olbrzymie znaczenie. Przewiduje ona dotację w wysokości 60 mln. zł, właśnie na budowę Dolnej Wildy. Kolejna to inwestycja do realizacji etapami. Jeszcze w tej 5-latce ułożymy jedną jezdnię od ul. Marchlewskiego do Dębca i tor tramwajowy, w drugim zaś etapie połączymy nową trasę z projektowanym przebiegiem ul. Piekary do ul. Dzierżyńskiego i położymy drugą jezdnię.

O dalszych zamierzeniach w zakresie układu komunikacyjnego miasta trudno mówić. Brak jeszcze ostatecznych koncepcji rozwiązania szeregu problemów i brak także środków. Nie możemy sobie również pozwolić na prowadzenie robót tego typu w kilku punktach równocześnie.

— Zagadnienie, które ścisłe wiąże się z pierwszym. W naszej „głosowej” dyskusji na temat „Poznań — miasto doskonałe?” autorzy wskazywali szczególnie na potrzebę uporządkowania centrum. Czy można — i w jakim zakresie — oczekiwać przystąpienia do niektórych prac?

— Uporządkowanie np. pl. Wiosny Ludów jest zależne od przyjęcia ostatecznej koncepcji. Rozpisany konkurs nie przyniósł definitywnych rozwiązań, chociaż niektóre projekty są bardzo interesujące i na pewno będą brane pod uwagę przy opracowywaniu końcowego planu. Natomiast porządkowanie ul. Czerwonej Armii rozpocznie się w tej pięcioletce. Prawa strona — idąc od

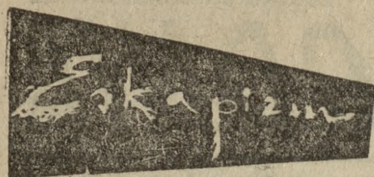
Dokończenie na str. 2



TRZY WAZONY

Linoryt Zbigniewa Kaji

Arkady Fiedler



Wyruszyliśmy z Conakri około drugiej po południu. Jeżdżąc nas trzech: sekretarz naszej delegacji handlowej — Mieczysław Eibel, dzielny kierowca Kwame Sumah i ja. Wszystko grało wyśmienicie. Pogodne niebo, znakomita droga asfaltowa, dobra maszyną Citroena, obraz afrykańskiej sawanny, nade wszystko zaś oczekiwanie niecodziennych wrażeń wywoływało nastrój upojenia. Byliśmy szczęśliwi, wystąpiły nam skrzydła.

Pędem mineliśmy sławetne czujną policję Coia i wpadli we wzgórze, szybko pęczniące krzepą i wzniosłością. Były to południowe wyloty rozległego masywu Futa Dżalon, na którego drugim końcu północnym, o jakie sześćset kilometrów stąd, usadowiło się Jakunkun. Roślinność coraz świeższa zdradzała większą wilgoć gruntu i zwłaszcza w dolinach tworzyła zwarte lasy. W tych kniejach z dala od ludzi, trzymał się jeszcze łowny zwierz. Żerowały dzikie bawoły, śmigały gazy i antylopy, buszował lampart, a nieco dalej, ku granicy Sierra Leone, słon nie był rzadkością.

Wilgoć sprzyjała tu także bananom i od czasu do czasu przeświecały jasną zielenią plantacje bananowe, istne bogactwo Gwinei. Stąd pożywny owoc szedł tysiącami ton złotym nurtem w świat ku uciecie setek tysięcy szczęśliwych bobasów we Francji, w Niemczech, w Ameryce Północnej, i jak łatwo mogliby dziś pójść także do Polski: przecież tylko urządzić by w naszych statkach stosowne chłodnie i przywozić masami tan, groszowy na świecie owoc, a urząd celny na pewno nie pobierałby już dwudziestu tysięcy złotych cła za tonę bananów, jak dotychczas. Ileż radości i zdrowego smakołyku rosło tu dla naszych dzieci!

Kindia, o 160 kilometrów od Conakri, było pociągającym miasteczkiem ze stacją Instytutu Pasteura w pobliżu, z której to placówki Francuzi są niezmiernie dumni, i to słusznie. Z drugiej strony miasta, na północnym zachodzie, wznosiły się zbite, rozległe góry, puszcza pokryta. Na ich stokach Emile Gromier, autor popularnego dzieła o gwinejskiej faunie, przed dwudziestu laty podziwiał ogromną różnorodność i nieprzebrane mnóstwo dzikiego zwierz, a szczególnie małp — zatrzęsienie. Podobno do dziś ustronie obfituje w zwierzyne.

Kindia to już obszar gór Futa Dżalon, a Futa Dżalon to ojczyzna znamienitych Fulbejów. I istotnie w dalszych wioskach rzucały się czasem w oczy niezwykle postacie. Dostojni starcy stali przed chatami w białych długich opończach, patriarchowie o dumnym obliczu i siwych, egzotycznych brodach. Fulbeje pochodzili ze Wschodu i byli ponoć Hamitami, zmieszani mocno z elementem murzyńskim. Mieli ciemną, niemal czarną skórę, ale niektórzy długie arabskie nosy i wąskie usta. Francuzi nazywali ich pompatycznie arystokracją Afryki, ale nie było przesady we wrażeniu, jakie Fulbeje sprawiali: byli to mężczyźni jakby żywcem z biblij wyjęci i podróżnika, patrzącego na nich, czarownie przenosili w inny świat, oddalony o tysiące mil i o dwadzieścia wieków.

Miło było nam na sercu. Oczy śmiały się do ludzi, upajał nas malowniczy kraj, więc, ażeby jeszcze dosadniej napawać się jego pięknem, niejako dodać mu przyprawy korzennej — rozzuchwaloną wyobraźnię puszczaliśmy się w tęczowe wojaże. Pomykaliśmy aż nad Wisłę i radośnie, prawie zdyszani ze wzru-

ciąg dalszy na str. 3

Z podróznego notesu

Postanowiłem kontynuować opis wrażeń z pobytu w stolicy Czechosłowacji, przepisując po prostu swoje spostrzeżenia z notesu.

Trzeci dzień. — Jeszcze o domach towarowych. W Pradze są dwa typy tych magazynów: specjalistyczne i uniwersalne. Pierwsze są w centrum stolicy, ze względu na swą specjalność mają szczególnie duży wybór towarów. Taki Dom Obuwia na przykład zorganizowany systemem preselekcijnym ma nie tylko podział na rodzaje ale i numerację. Obok kondygnacji z obuwem damskim, męskim i dziecięcym, są stoiska z sezonowym, ciepłym obuwem tekstylnym. Ceny? Męskie na wet droższe od polskich, ale damskie, zwłaszcza piękne „szpileczki” — bardzo tanie. Dziecięce — jeszcze tańsze. W osobnych stoiskach — dodatki: skarpetki, pończochy damskie, pasty, wkładki (także ortopedyczne!).

Dom Dziecka — to raj dla matek. Szczególnie Polki zachwycać się mogą pięknymi tanimi trykotami: piżamkami (kupiłem, żona zdecydowała, że syn będzie w niej chodzić... na spacer), skafanderkami, koszulkami, śpioszami. Są na-

Zbilut Sęk

Dla matek i... pijaków

wet specjalne konserwy z odżywczymi potrawami dla dzieci. Tam także — zabawki. Ciekawe i pouczające: mała maszyna dzwiar-

ska, samochodziki gotowe i takie same do zmontowania. Dużo, dużo zabawek do montowania dla majsterków. Praktyczny kurs politehnizacji. Czesi rozwiązyli jakoś problem artykułów dziecięcych. Czyżby nasi specjaliści nie odwiedzali Czechosłowacji?

Magazyn ze sprzętem gospodarstwa domowego. Mnóstwo z gatun-

Skutek murowany. Toteż w takim olbrzymim SAM-ie, mieszczącym się w byłej hali targowiska wchodzi jednocześnie setki klientów i nikt nie krzyczy, by odsuwać się od towaru, nikt nie wydziera koszyków, które uprawnniają do wejścia.

No tak, ale spróbuj coś takiego zaproponować w naszym „przepraworządniczym” kraju... Jeszcze klientowi zdjęcia nie zdążyś zrobić, a już cię zaskarży o zniesławienie. U nas przecież złodziej ma swój honor i potrafi go obronić nawet na drodze sądowej...

Sklepy nocne otwarte do 24. Ale w nocy też z głodu człek nie zginie. Nie chodzi o restauracje; na centralnych ulicach czynne są do rana uliczne kioski, gdzie można kupić gorącą kiełbasę z rusztu, wypić lemoniadę lub piwo.

Dużo nocnych tramwajów, po zwykłej dziennej taryfie. Przejazd droższy niż u nas, ale z jednym biletem można objechać całą Pragę.

Piąty dzień. — Czesi lubią małe knajpki. Tam przebywają najczęściej, choć tioku na ogół nie ma. Są to przeważnie winiarnie, pijalnie piwa. Do wina podaje się nawet plasterki ziemniaków (brambory — mówią Czesi) prażone w oleju, do piwa — rodzaj racuszków. Siedzi tam taki brat-Czech przez kilka godzin, gada lub czyta gazetę i wychyla po kilkanaście kufelków półlitrowych o 16 stopniach mocy. Toteż problem alkoholizmu nie polega w CSRS na picu wódki (mało jej i droga, importowana) ani spożyciu wina (dobre, naturalne czyli wytrawne, ale też nie tanie w porównaniu z naszymi „sikaczami”) lecz na rozpowszechnionym picu piwa. Dziwne, ale Czesi na ogół wielkich z tego brzuchów nie mają.

Po piwie natomiast humor mają znakomity. Byłem w jednej starej piwiarni. Nazywa się „U świętego Tomasza”, tak jak przed — czapki z głów! — sześciusetjedenaście laty. Dębowa ława i stół, podpiwniczone sklepienie, a na nim stare malowidła i wspaniałe sentencje. Widać, że wspaniałe przy „svatoto-maszkim” piwie:

„Na srdce ti synu kladu
Epikura poslysz radu
Jez, pij, miluj, dokud czas
Smrti konci každý kwas.”

Albo:

„Dwanacta blje
Domu pospiesz
Masz-li zlou ženu
— No to se tesz” (ciesz).

Takie złote myśli chyba każdy Polak zrozumie...

ZWIERZENIA GOSPODARZA

Dokończenie ze str. 1

dworca — powinna być gotowa w tym roku, z wyjątkiem odcinka przy ul. Piekary i przy ul. Garnarskiej, gdzie dopiero w 1963 r. zakończy się budowa domu dla pracowników Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego. Lewa zaś strona wymaga, niestety, znacznych wyburzeń. Część z nich, od ul. Lampiego do ul. Ratajczaka, zrealizujemy w latach 1962—1964. Drugi zaś odcinek — do Al. Marcinkowskiego w tym 5-leciu nie będzie mógł być uporządkowany.

— Prezydium Rady Narodowej rozważa sprawę przeniesienia siedziby władz miejskich na pl. Kolegiacki, a zarazem przekształcenia Zamku w Centralny Dom Kultury. Wokół tego zagadnienia słyszy się już sporo wersji. Czy można zatem prosić o sprecyzowanie projektu i korzyści wynikających z tej koncepcji?

— Jest to tylko projekt. Ostateczną decyzję w tej sprawie podejmie Rada. Dlaczego zamierzamy wyprawać się do Zamku? Po pierwsze — budynek ten nie jest w pełni wykorzystany; olbrzymie sale i halle stoją puste, a pomieszczenia biurowe, urządzone prowizorycznie, nie nadają się do właściwego wykorzystania. Po drugie — znaczna część pokoi ma oświetlenie północne, nasłonecznienie słabe. Wielu ludzi pracuje zatem cały dzień przy sztucznym świetle.

Budowa nowego ośrodka pochłonie wiele dziesiątek milionów zł i chyba do 1970 r. nie byłoby nas stać na taką inwestycję, a myśl przebudowy Zamku nie jest nowa. O ile pamiętam, już w r. 1950 przyjęto taką uchwałę i zobowiązano ówczesne władze do jej wykonania. Brak jednak było warunków do zrealizowania zamiaru. Obecnie, w związku z wprowadzaniem w życie wskazań VIII Plenum KC PZPR, Prezydium WRN przekazuje w teren około 160 etatów. Zwalnia ono w ten sposób odpowiedzialność liczbę pokoi biurowych. Ponadto — kontrola wykorzystania biur, przeprowadzona w szeregu instytucji, ujawniła — według prowizorycznych danych — około 5 tys. metrów kwadratowych „chomikowanej” powierzchni.

Dzięki przychylności Prezydium WRN możemy uzyskać budynek przy pl. Kolegiackim, w latach 1918—1950 użytkowany przez Urząd Wojewódzki, a później przez niektóre wydziały Prezydium WRN.

Jakie zarzuty wysuwa się przeciwko naszej koncepcji? Pierwszy — ile będzie kosztować translokacja? Adaptacja Zamku na potrzeby kultury nie powinna przekroczyć 8 mln. zł, rozłożonych na 2—3 lata; nie wliczam w to kosztów odbudowy nieczynnej dotychczas sali koncertowej, na którą trzeba i tak przeznaczyć dodatkowe środki, nie-

zależnie od obecnego projektu przeprowadzki. Konieczne zmiany w budynku przy pl. Kolegiackim pociągają za sobą w zasadzie tylko te koszty, które i tak trzeba ponieść w najbliższej przyszłości.

Drugi zarzut ze strony oponentów — rzekome przesunięcie ośrodka administracji na peryferia. Nie dobrze, gdy ktoś patrzy na pewne sprawy ze swego podwórka. Pl. Kolegiacki jest dogodniej położony w stosunku do centrum, Wildy czy Nowego Miasta niż Zamek. Przesunięcie niektórych przystanków tramwajowych ułatwi dojeżdżenie do placu od strony Garbar i pl. Wiosny Ludów. Ponadto — skoncentrowanie wszystkich biur naszego Prezydium w jednym budynku ułatwi interesantom załatwianie spraw. Nie bez znaczenia jest także powrót administracji miejskiej do tradycyjnego centrum, jakim był Stary Rynek i jego otoczenie.

Decyzję o utworzeniu Centralnego Domu Kultury chcemy podjąć z uwagi na troskę o wychowanie młodzieży. Zakładamy, że z takiego ośrodka mogłoby korzystać ponad 8 tys. osób, że będzie on mógł prowadzić działalność kulturalną i metodologiczną w rozmaitych dziedzinach i dla całego miasta. Przedstawiciele innych wielkich miast, którzy pomagali nam w opracowywaniu koncepcji Domu Kultury, nie ukrywali uczuć zazdrości, że Poznań pozyska taki obiekt.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ COFTA

Pożegna koparkę do zgarniania nawierzchni ziemi podczas wydobywania węgla brunatnego prezentuje się okazale. Jej skomplikowany mechanizm działa jedynie wówczas bezbłędnie i sprawnie, kiedy obsługuje go świetny fachowiec. Wystarczy jeden spóźniony ruch dźwigni lub niedokładne oszacowanie odległości i awaria gotowa. Nie każdy może więc te koparki-olbrzymy obsługiwać.

W Zakładach Cegielskiego jest kilka drogiej i szalenie precyzyjnych maszyn z importu, działających z dokładnością do tysięcznych milimetrów. Wymagają one obsługi pracowników o bystrym refleksie i dużym opanowaniu nerwowym. Drgnie ręka i obrabiana część może w ogóle nie nadawać się do użytku.

W obu przypadkach dobór pracowników powinien być szczególnie staranny. Same, najlepsze nawet, kwalifikacje nie wystarczą! O tym czy dany pracownik może pracować na danym stanowisku, powinien decydować także zespół lekarzy i psychologów.

W praktyce dość często spotyka się operatorów dźwigów, koparek, kierowców samochodowych itp., którzy nie posiadają niezbędnej sprawności do uprawiania zawodu. Jest wśród nich sporo ludzi o spóźnionym refleksie, w związku z czym wielu współpracowników, pasażerów i przechodniów narażonych jest ciągle na niebezpieczeństwo kalectwa lub śmierci. Ujemne rezultaty z nieodpowiedniego doboru pracowników na odpowiedzialnych stanowiskach zanotowano również w wielu innych dziedzinach i dlatego też przy doborze kadr w przedsiębiorstwach coraz częściej poddaje się pracowników badaniu lekarzy i psychologów.

Tego rodzaju badania okazały się szczególnie przydatne wśród kierowców w budownictwie oraz wszędzie tam, gdzie pracownicy narażeni są na niebezpieczeństwo, bądź też mogą spowodować wypadek. Interesujące spostrzeżenia nasunęło także między innymi badanie przydatności robotników z różnych fabryk odzieżowych

i utworzenie osobnych grup z najbardziej predestynowanych do tej pracy. Okazuje się, że ci ostatni uzyskują o 50 proc. większą wydajność, aniżeli inni zatrudnieni przy podobnych czynnościach.

Dobre wyniki przyniosły na przykład badania psychotechniczne w Nowej Hucie i niektórych innych polskich przedsiębiorstwach, gdzie po doborze na najważniejsze stanowiska nie tylko podniosła się wydajność, ale także zmalała liczba wypadków przy pracy. Nie trzeba jednak przy tym wszystkim przypominać, że na wysoką wydajność pracy wpływa dobre samopoczucie pracowników, a na dobre samopoczucie wpływają korzystnie odpowiednie warunki

Bronisław Lisowski

Psychotechnika a wydajność

runki pracy. Myli się ten, kto sądzi, że najważniejszym bodźcem dopinającym do zwiększenia wydajności są wysokie płace. Badania wykazały, że większą rolę odgrywa: poczucie własnej wartości i bezpieczeństwa w przedsiębiorstwach, koleżeńskie stosunki, szanse awansu i uznania za pracę.

Wiele zadowolenia sprawia pracownikom świadomość umiejętności zawodowej i stąd też psychologowie mogą odegrać także dużą rolę przy doborze kandydatów do szkolenia zawodowego. Działalność w tej dziedzinie nie może jednak ograniczać się tylko do kształtowania umiejętności zawodowych, gdyż ważne jest także wyrabianie nawyków, organizowanie samokontroli, stwarzanie takich warunków, w których pracownicy czują się dobrze. Nieodpowiednie stosunki pomiędzy ludźmi

powodują przecież różne konflikty, skargi, zażalenia i reklamacje, które w efekcie osłabiają chęć do pracy. Będne ustalanie stawek płac, czy niesprawidłowe rozdzielanie prac gorzych i lepszych, budzą u pracowników poczucie krzywdy i brak zaufania do kierownictwa. Słabnie wówczas zainteresowanie pracą, rodzi się bierność, pracownicy nie zwracają uwagi na marnotrawstwo czasu, narzędzi i obniżają swoją wydajność pracy.

Naukowcy zajmujący się problemami organizacji pracy od dawna zauważyli, że pracownicy inaczej szanują pracę, surowce i odzież ochronną w dobrze utrzymanych zakładach, aniżeli w fabrykach, w których panuje bałagan i brud.

Podczas innych badań stwierdzono, że na kształtowanie się produkcji i regeneracji sił u pracowników wpływa również w dużej mierze odpoczynek podczas pracy. Jest to bardzo ważne, gdyż wydajność pracy w ciągu dnia kształtuje się różnie. Najwyższa jest przy rannej zmianie około godziny 8, potem maleje około 11 i ponownie wzrasta, ale nigdy już nie osiągnie poziomu z wczesniejszych godzin. Dlatego też wiele zakładów wprowadza krótkie przerwy i gimnastykę podczas pracy. Przyniosło to nieoczekiwane rezultaty, gdyż okazało się, że 5-minutowy odpoczynek po każdej godzinie spowodował w wielu przypadkach zwiększenie wydajności nawet o 25 procent.

Tak więc wszystko wskazuje, że wydajność pracy zależy w dużej mierze nie tylko od wyposażenia zakładów, ale również od doboru pracowników i współpracy z psychologami, fizjologami i socjologami. Duże korzyści mogłoby tutaj przynieść organizowanie w większych miastach, czy przedsiębiorstwach, poradni psychologicznych, których koszt — w zależności od wyposażenia — wahałby się od kilkudziesięciu do kilku tysięcy złotych. Badania te są wyjątkowo trudne, opierają się na testach, obserwacjach i rozmowach, jednakże ich stosowanie przyniosłoby wiele korzyści.



Dyskusja o kulturze w powiecie

Barbara Zabel

Kaczory, pow. Chodzież

Nie „koniec świata“

W dyskusji o kulturze w powiecie nie można pomijać takich wiosek, jak nasze Kaczory, które już właściwie tracą swój charakter wsi, a przybierają wygląd miasteczka. Dowodem tego także i to, że na 30 moich kolegów i koleżanek w wieku pozaszkolnym, tylko 3 pracuje na rodzicielskich gospodarstwach, reszta albo uczy się w różnych średnich szkołach, albo już pracuje w pozarolniczych zawodach. Jestem pewna, że takich osiedli jest znacznie więcej w naszym województwie.

Życie kulturalne skupiliśmy w Gromadzkiej Bibliotece. Mamy zespół teatralny, organizuje się orkiestra, chcemy się też uczyć śpiewać i tańczyć. Nasze pomieszczenie wynosi tylko 20 m², a równocześnie stojący nad jeziorem budynek Związku Zawodowego Pracowników Leśnych z 16 pokojami stoi pustką, gdyż kolonie dziecięce wypełniają go tylko przez 2 miesiące w ciągu roku.

Potrzeby nasze częściowo załatwia klub-kawiarnia, który Gminna Spółdzielnia stawia, przerabiając stary magazyn. A więc będzie gdzie pogawędzić.

Proszę nie myśleć, że nasza wieś to taki sobie „koniec świata“. Dzięki Gminnej Spółdzielni zwiedziliśmy Sudety i Kraków, a w tym roku wędrowaliśmy po Warmii i Mazurach. Organizowanie wycieczek — to już dobra tradycja naszej GS. To nie wszystko. Jeździmy też grupowo na przedstawienia w Pile. Ostatnio podziwialiśmy tam „Carmen“ i „Halke“ w wykonaniu Opery Warszawskiej.

A więc nasza turystyka w dalekie strony i do pobliskiej Piły ma zawsze charakter kulturalny. Turystykę lubimy. Może polubiłaby ją dlatego, że i do naszych Kaczor w lato zaglądają miłośnicy piękna. Nie tylko z Poznania, ale i z Krakowa. I trochę nam z tego powodu wstyd, bo brzeg jeziora wcale nie przygotowany na przyjęcie gości. Podobno tymi sprawami interesuje się PTT-K w Poznaniu i służy pomocą w wykorzystaniu warunków, jakie mamy.

inż. Leopold Wydziałkiewicz

Chodzież

Kultura wymaga przygotowania

Niedostatek przedwzrostowy, ogólna bieda i troska o utrzymanie się na powierzchni życia w okresie okupacji, a wreszcie gorączkowa i intensywna praca w pierwszym dziesięciu lat powojennych, były przyczyną powstania w naszym społeczeństwie ciekawej kategorii ludzi. Ludzie ci wiedzieli, jaki strój potrzebny jest do ciężkiej odpowiedzialnej pracy, ale nie umieli ubrać się na zabawę, do teatru lub na oficjalną uroczystość. Ludzie ci umieli wsłuchiwać się w dźwięki i odgłosy pracujących narzędzi i maszyn i doskonale je rozumieli, ale nie umieli słuchać poważnej muzyki. Ludzie ci brali się w swej pracy na codzień z nowymi wynalazkami i pomysłami, ale i tu nie znali nowych kierunków w malarstwie, rzeźbie, poezji i prozie.

Ludzie ci żyli z pracy, pracą i dla pracy, czasem „używali“ życia nie zawsze jednak po ludzku i nie zawsze widzieli po ludzku innych ludzi.

Takich porównań jest dużo, ale do rzeczy. Kiedy wreszcie nadszedł czas upowszechnienia kultury, to wszyscy ci ludzie ze wszystkich stron otrzymują lekcje kultury w formie i treści obrazującej czasy obecne, nowoczesne. Działacze „robiący“ tę kulturową wiedzę, czego szukają i czego chcą od siebie, ale nie wiedzą czego potrzebują i chcą szerokie masy odbiorców. Nie wiedzą, co tym odbiorcom potrzeba. To, co im dają lub zamierzają dać, najczęściej spotyka się z niezrozumieniem. Na przykład podaje się im treści kulturalne w formie, która jest wynikiem wielu doskonałości i poszukiwań nowych wyrazów, a więc dla nich dość trudnej do przyjęcia.

Uczyć ludzi kultury zaczynając od środka, to to samo co budować dom od piętra. Kazać ludziom przyjmować i rozumieć kulturę w stadium pełnego jej rozkwitu i rozwoju — to skazać ich na los Ikara.

A więc? Oczywiście kultura nie stanie w rozwoju i nie będzie cze-

kać na maruderów. Musi jednakże znaleźć sposoby i środki oraz zniżyć się do poziomu tych, którzy tego potrzebują. Musi choć w skrócie zaznajomić ich z drogą kultury, z jej historycznym rozwojem.

Jakie drogi prowadzą do tego celu, to już zagadnienie inne i częściowo rozpracowane przez fachowców, wymaga ono jedynie małych poprawek i i wkreślenia w plan działania.

*

Jedną z tych poprawek to ustalenie zakresu obowiązków i sposobu postępowania dyrektora i kierownika zakładów pracy, przy podnoszeniu kultury podległych pracowników, ze specjalnym uwzględnieniem młodzieży. Obowiązek ten nie zawsze będzie miłym.

Obecnie całość obowiązków tzw. k. o. (kulturalno-oświatowych) należy do rad związkowych i ich komisji. W tych warunkach przy znikomym licznie obsadzie etatowej rad zakładowych (nie mówiąc już o przypadkowości w doborze tych pracowników) nie może być mowy o prawdziwej pracy. Koleżeńscy, socjalistyczny i poparty zasłużonym autorytetem stosunek zwierzchnika do omawianych zagadnień, da w każdym zakładzie dobre wyniki. Kierownik zakładu pracy musi osobiście zajmować się podnoszeniem kultury tych pracowników, którzy tego potrzebują, musi osobiście zajmować się młodzieżą i ich zainteresowaniami, wychodzić im naprzeciw, a gdy trzeba — służyć radą, a

nawet inicjatywą. Współzawodnictwo pracowników również i na tym odcinku pracy da dobre wyniki.

Ścisła współpraca trzech powag w każdym zakładzie pracy a to: sekretarza POP, przewodniczącego rady zakładowej i kierownika przy dobrze rozplanowanym programie pracy, dadzą pozytywne rezultaty w każdym wypadku.

Praca powyższa związana jest z wydatkami, ale brak kultury kosztuje nas niewspółmiernie więcej.

Czesław Kędziora

Kąkolewice-Budzyń

Plan — pół roboty

Bardzo dobre efekty w pracy kulturalno-oświatowej daje świetlica w połączeniu z biblioteką i to nie tylko gromadzką ale także z punktem bibliotecznym. Przykładem tego wieś Kąkolewice (pow. Chodzież), w której pracuje jako nauczyciel. Nie ma u nas jeszcze świetlic elektrycznych, zabłyśnie ono w niedługim czasie, mimo to ludzie chętnie gromadzą się w szkole, gdzie pracuje zespół kukielkowy i teatralny i dyskutuje się nad przeczytanymi książkami.

Właśnie sprawa czytelni jest bardzo ważna. Prowadzący punkt biblioteczny czy bibliotekarz gromadzki bardzo dużo może zrobić w upowszechnieniu książki. Musi jednak spełnić jeden zasadniczy warunek, musi znać środowisko, w którym pracuje; mało środowisko — musi znać zainteresowania poszczegól-

nych ludzi i zaspokajać je, a nawet wyprzedzać im naprzeciwko z odpowiednią lekturą. W naszej wsi ta forma dała dobre owoce. Niektóre książki wędrują z rąk do rąk z pominięciem punktu bibliotecznego. Stąd jego sprawozdawcze wykazy podają mniejsze dane niż rzeczywistość. Ruchu tego nie da się ująć. I to chyba jest dobrym zjawiskiem, bo nie chodzi tu tylko o wykazy, ale o wiązanie ludzi z książką. Nad książką, która wzbudza zainteresowanie, chętnie się u nas dyskutuje.

Prowadzę równocześnie świetlicę w pobliskim Budzynie — w siedzibie władz gromady, przeprowadzającej u siebie pełną mechanizację. Z tej racji chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na konieczność planowania pracy kulturalno-oświatowej. W budzyńskiej świetlicy plan jest wywieszony na widocznym miejscu, aby każdy mieszkaniec mógł przyjść do niej wtedy, gdy go coś interesuje. W planie uwzględniamy program telewizyjny, godziny poświęcone książce, wyznaczamy czas zespołowi dramatycznemu (przygotowujemy wodewil „Skarb Stefana Zięby“), znajdzie też dla siebie godziny organizujący się chór gromadzki i orkiestra.

Dobrze opracowany plan — moim zdaniem — to połowa roboty. Ułatwia to działalność świetlicowemu i chętnie nie przychodzi „na ślepo“. Jeśli w wielu świetlicach życie kuleje, zdaje mi się, wina leży w braku omówionej koncepcji zajęć.

Jeszcze jedna uwaga. Powiatowe władze kulturalne mogłyby raz po raz zaglądać do naszych terenowych placówek, to by zobowiązywało działaczy do lepszej pracy, czuli by oni opiekę, a bywalcy świetlicy byłoby bardziej zachęci-

rozumieniu z TRZZ można i należy tu wiele zrobić w skupiskach ludności rodzimej, należy ją przyciągać do współdziałania. Myślę, że i łączność ze ZBoWiD-em, zwłaszcza z sekcją Powstańców Wielkopolskich, to sprawa ważna. Nie wszystko ze wspomnień, z żywej ustnej tradycji zostało już wydobyte.

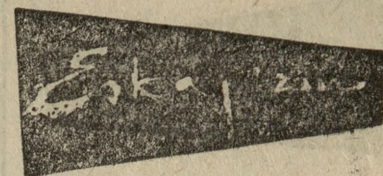
Związki twórcze? Cóż, że mają pewną bazę działania, nie zawsze zresztą dostateczną, kiedy działalność ich przedstawia sporo do życzenia. I może warto pomyśleć o jakiejś aktywizacji plastyki, literatury, może warto poszerzyć sprawy oddziaływania kultury muzycznej i teatralnej. Wbrew wielu podniosłym oświadczeniom, w działy kultury niewiele zrobili u nas dla twórców ludowych (podkreślam, twórców, nie amatorów): świątkarzy, wyplataczy, wycinkarzy, kobziarzy itd., itd. Rzecz niebiała.

Skąd fundusze?

W tych siłą rzeczy ogólnych bardzo uwagach pragnę jednak podkreślić szczególnie silnie jedną sprawę niezwykle ważną. Na ogół dawno przysnęły ułudy, że bez pieniędzy można na dłuższą metę prowadzić sensowną, owocną działalność kulturalną. Niemniej są i dziś jeszcze naiwni, którzy gotowi byłiby głosić hasła działania Wielkopolskiego Towarzystwa Kultury w oparciu tylko o siłę społecznego działania. Doceniam tę siłę, ale tylko na niej Towarzystwo się nie zbuduje, w każdym razie takiego, o jakim marzymy, by stało się centrum organizującym i inspirującym rozwój kulturalny całego regionu. WTK musi mieć zabezpieczoną materialną bazę działania. W Zielonej Górze bazą taką staje się ponad milionowa roczna subwencja województwa, dla „Pojezierza“ niemniej poważne dochody przynosi „Panorama“ i równe dotacje miejscowych władz. Trudno rozstrzygać, co będzie źródłem podstawy finansowej WTK, niemniej podstawa taka, i to we wcale poważnej kwocie, musi zaistnieć.

Nie rozwijam tematu. W swych artykułach starałem się choćby najpobieżniej wskazać na profil działania i doświadczenia pokrewnych placówek gdzie indziej po to, aby przejąć od nich, co słuszne, z marginesem, rzecz jasna, na własną wielkopolską specyfikę. Nie próbuję tutaj sugerować pewnych nowych, innych form działania. To już temat odrębnej wypowiedzi.

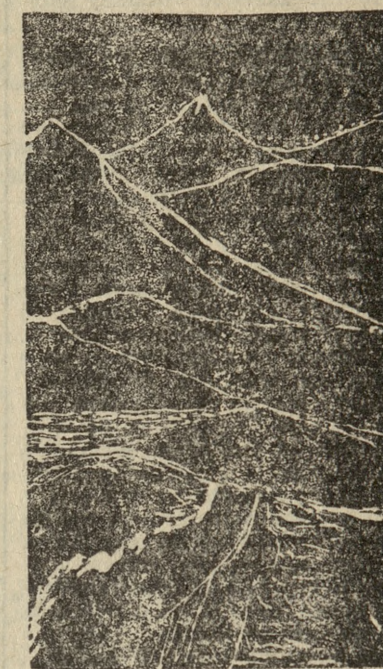
W każdym razie stworzona przez Festiwal szansa powołania do życia Wielkopolskiego Towarzystwa Kultury jest szansą olbrzymią, której nie wolno zmarnować. Jak za tą szansą tęskni teren, wspominałem już na początku. Może wreszcie i w naszej Wielkopolsce naprawdę ruszą sprawy kultury z kopyta?



Ciąg dalszy ze str. 2

szczenia, dopadliśmy Krakowa. Mieczysław Eibel, człowiek wysoce kulturalny, wykształcony, a w sam raz rozmowny, był wymienionym kompanem w tego rodzaju wypadach, toteż pełni radości wlecieliśmy razem do Michalikowej Jamy na młodopolską kawę — z absyntem oczywiście. Przy sławnym okrągłym stole pod ścianą siedział tam samotnie, czekając na przyjaciół, rudawy, brodaty poeta. Kreślił ołówkiem na kartkach: może strofy o Bolesławie Śmiałym pisał, może projekt witrażowy szkicował sobie Wypiański?

Ala tam, u Michalika, było mrocznie i duszno, Eiblowi i mnie nawet we wizji zbyt ciasno. Toż tu, w afrykańskiej rzeczywistości, śmigały nam przed oczami raz po raz uciśnięte, stożkowate strzechy nad



Ilustr. — Ewa Pruska

małymi chatynkami wśród kuliści mangowców i rozczapierzonych baobabów — więc także w wyobraźni przyjemnie było uciekać wspomnieniom murów Krakowa na kwieciste błonie. Porywały nas Bronowice i okoliczne wsie, tonące w gąszczu wiślanych lip i topoli. Błogo było spojrzeć tam na błękitne chaty i przytulne strzechy i zabawić w gronie rozkochanych Tetmajerów i serdecznego Rydla. Lgnęliśmy sercem do tej zacisznej, spokojnej wsi, której nie miała się imać wojna, i do tych żon wysnionych, wymarzonych.

Tak oto upijał się przednim miodem wspomnień. I nie była to ucieczka od smętnej rzeczywistości w krainie pięknych rojeń, ani to bunt przeciw temu, co nas otaczało, lecz przeciwnie: właśnie dlatego że tu, na tej gwinejskiej autostradzie, było uroczno i było nam dobrze, unosiła nas fantazja aż hen nad Wisłę i kazała nam pięknie marzyć.

Przypomniał mi się cudaczny perepet z niedawnej przeszłości i po budziły mnie do wesołego śmiechu na myśl o pewnych okrutnych katonach, domorostych amatorach pochopnego linczowania. Spiewające ryby w amerykańskiej rzece i woń kanadyjskiej żywiccy wydawały im się srodze podejrzaną i pachniały karygodnym eskapizmem, zatrującym biedne dusze młodzieży. Gdyby zagorzalcy jechali teraz z nami i widzieli, jak dobrze nam tutaj było pomimo marzeń o czymś dalekim!

Zanim słońce zaszło, dotarliśmy do miasta Mamou, wzięła krzyżującego się dróg i jądra kraju Fulbejów. Nieco dalej na wschód leżało Timbo, przed podobojem Francuzów czcigodna stolica potężnego państwa, dziś nieznacząca wieś. Przeszliśmy trzydziestu dziesięciu nieźle — przed osiemdziesięciu laty Francuz Sanderval potrzebował na to czterdziestu dni wędrowki.

Dotąd jechaliśmy mniej więcej w kierunku wschodnim; w Monacu skręciliśmy na północ. Parę kilometrów za miastem ujrzeliśmy imponujące zjawisko: z północy leciały, jedno za drugim, trzy liczne kłucze ptaków, tworzących trzy olbrzymie kęty w szuku wędrownym. Wdwieście czy ileś ptasich lotników, zapewne afrykańskich żorawi, miarowo i równocześnie uderzało skrzydłami jakby na jedną komendę. Przejmujące wrażenie sprawiała skrzydlata armia. Bili od niej majestat przyrody.

Już przed dojeżdżeniem do Mamou przestaliśmy myśleć o Krakowie,

Dokończenie na str. 4

W pierwszej części tych uwag, nawiązując do sprawy powołania do życia Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego, próbowałem wskazać na główne kierunkowe przyszłego działania tej tak potrzebnej na naszym terenie placówki. Siegnąłem przy tym do doświadczeń instytucji podobnych w typie, mających w innych regionach ładny już szmat pracy za sobą. Warto przejąć, z pewną modyfikacją oczywiście, niektóre z wypracowanych już przez nie form pracy, niemniej warto przyjrzeć się tym i owym z popełnionych błędów, aby nie powtarzać ich w okresie „raczkowania“ naszego towarzystwa.

Szczególnie istotny jest dla mnie przykład Lubuskiego Towarzystwa Kulturalnego z siedzibą w Zielonej Górze, toteż jego doświadczeniom poświęciłem uprzednio najwięcej miejsca.

Przykład „Pojezierza“

A przykład „Pojezierza“? Również w niejednym inspirujący, ale także przestrzegający. O tych przestrożach można zresztą mówić głównie już w czasie przeszłym, ostatnio bowiem „Pojezierze“ przeszło głębokie wewnętrzne zmiany strukturalne przy czym, poprzez nawiązany kontakt z LTK przejęło niejako z jego doświadczeń.

„Pojezierze“ np. do dziś dnia nie potrafiło nawiązać jakiegokolwiek konkretnego współpracy i doprowadzić do rozdziału zadań między sobą a Warmińsko-Mazurskim Towarzystwem Społecznym. Istniejące dysonanse i dublowanie roboty, ani jednej z tych placówek nie wychodziły na dobre. Podobnie w pierwszej fazie rozwoju zdarzały się konflikty z Wydziałem Kultury; obecnie są to już minione echa, ale ongiś były one przyczyną niejednego zahamowania.

Specyfika regionu Warmii i Mazur, ich wyjątkowo turystyczny charakter, a przy tym istniejąca na polu organizacji turystyki pustka w momencie startu organizacyjnego „Pojezierza“ doprowadziły do postawienia głównego nacisku na te sprawy. Korzystając z olbrzymich dochodów, jakie przynosiło pismo organizacji — „Panorama“, odremontowany został zamek w Lidzbarku Warmińskim, podobnie z przeznaczeniem na hotel zamek w Giżycku i w Reszlu. Obecnie, z momentem powstania przedsiębiorstw takich, jak Tow. Turyst. Warszawa

— Olsztyn czy „Gromada“, „Pojezierze“ przestawiło się w poważniejszym stopniu na pracę kulturalną, rezygnując z organizacji i stwarzania zaplecza dla turystyki. „Panorama“ została przejęta przez RSW „Prasę“, ale za pewną sumę roczną, co zabezpiecza budżet towarzystwa, zezwala też na wydawanie deficytowego, ale ważkiego dla kultury regionu pisma „Warmia i Mazury“. „Pojezierze“ również prowadzi ożywioną działalność wydawniczą, gdyż w Olsztynie podobnie jak i w Zielonej Górze nie istnieje ośrodek wydawniczy. Podobnie szeroko inspirowe „Pojezierze“ ośrodki twórcze, wspomagając je materialnie. Szeroki zakres działania ma sekcja regionalna, szcze-

Eugeniusz Paukszt

SZANSA DO WYGRANIA⁽²⁾

gólnie pilnie opiekująca się środowiskami ludności rodzimej.

Wnioski dla WTK

Nie chcę już przytaczać dalszych szczegółów działalności tych dwóch towarzystw, które chlubnie zdały swój egzamin i niezwykle ożywiły życie kulturalne regionów. Już z tych kilku uwag rysują się jednak pewne wnioski dla rodzącego się Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego.

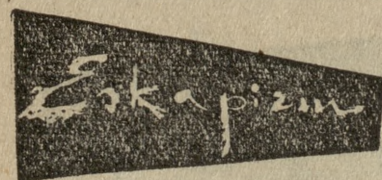
Po pierwsze: WTK powinna cechować nie dążność do hegemonii, ale postulat pomocy i inspiracji; musi to znaleźć odbicie w programie działania.

Wniosek drugi: w żadnym razie nie można zezwolić na wkradanie się w charakter pracy instytucji jakichś nawyków biurokratycznych, a w naszym regionie są — o! są — ku temu inklinacje.

Sprawa wydawnictw książkowych, tyle uwagi zaprzatająca LTK czy „Pojezierzu“, u nas jest rozwiązana poprzez fakt istnienia Wydawnictwa Poznańskiego.

Towarzystwo Wielkopolskie zyska najpewniej od razu sojuszników, zarazem członków, w istniejących już placówkach tego typu, jak np. Towarzystwo Miłośników Poznania, organizacje kaliskie, leszczyńskie, pilskie i inne. Warto zarazem dążyć do powstania w takiej czy innej formie podobnych ośrodków działania społecznego w pozostałych regionach. Forma, kształt, czy będą to filie(?), czy odrębne jednostki, to rzecz praktyki; trudno tutaj teoretyzować.

Ważna jest sprawa północnych regionów, Piły i Trzcianki. W po-



Dokończenie ze str. 3

ale oraz klucze ptaków, wędrujących z północy, wyglądały niemal jak symbole i przypominały nam uprzednie marzenia. Podjął to Eibel odzywając się żywo:

— Zwiastuny z północy! Co za wspaniałe skojarzenie!

— Ech! — machnąłem ręką z żartobliwą przekorą. — Wspaniałe, owszem, ale ptaki — i koniec!

Po zachodzie słońca nastał przyjemny chłód, bo to i mrok zapadał. Wśród ciemności, zajeżdżaliśmy akurat na kolację do hotelu w Dalabie ponętnej miejscowości klimatycznej dla całej Gwinei. Ow hotel odgrywał tę samą pożyteczną rolę co Grand Hotel w Sopocie w maju i czerwcu: różne ważne i nieważne delegacje wyznaczały tu sobie randki, ażeby nie tylko mądrze radzić, ale radząc zażywać rozkoszy otoczenia.

Kochane Dalaba: podwójny pokój kosztował tu zaledwie pięćset franków — dwa dolary, niebawem taniocha! Po przysnuciu czuliśmy się jak młode bogi i oddychając faryfarycznie rześkim powietrzem — tuż obok dotknięci wilczym apetytem, poszliśmy na kolację. W hotelu były pustki, oprócz nas w sali jadальной tylko para jedna, za to ciekawa: on młody Francuz, ona niepełna dwudziestolatka o dziwnie egzotycznej krasie. Nie była biała, ani czarna, ani Mulatką, ani Metyską, więc czymże, do licha, jak Eurazjatką? Ożywni szczerą życzliwością dla tych dwojga zerkaliśmy do nich dyskretnie, aż znalazłem: wyglądała na Laotankę z domieszką białej krwi. Lecz skądże tu dziewczyna z Laosu z głębi Azji? Zresztą mniejsza o jej rodowód: była prześliczna, zwłaszcza wtedy, gdy przylizując się do towarzysza, z lekką znużonego paszy, darzyła go uśmiechem. Szalenie nam się podobała i przypominała jakąś znajomą. Ale kogo?

— Już wiem — ucieszył się Eibel. — Lili Badmajew.

Miał słusność, trafił w sedno: dziewczyna o tajemniczej urodzie była podobna do naszej Lili Badmajew, cenionej, wykwinnej baletnicy, a dorodnej córki tybetańskiego lekarza i Polki. Obydwaj znaliśmy ją osobiście. I chwyciło nas znowu to samo: jak po południu Kraków, tak teraz Lili Badmajew rozogniła naszą wyobraźnię. Wybiegając do uroczej tancerki serdeczną myślą, zastanawialiśmy się gdzie ona obecnie podbija serca: w Rzymie czy w Paryżu czy w Atenach? Życzyliśmy jej szczęścia i piliśmy na jej pomyślność. Potem poniosła nas rozbrykana fantazja i powstało pytanie, jak zachowywała się Lili, gdyby kapryśnym przypadkiem towarzyszyła nam w tej futułałowskiej wyprawie i oto siedziała z nami przy stole w Dalabie?

— Byłaby morowym kumplem — zapewniał Eibel i ja tak sądziłem.

I znowu wypadało stwierdzić, że to wybieganie w dal, ku kuszącej tancerce, nie było wcale ucieczką od rzeczywistości do wysnionej zjawy. Przeciwnie, przywoływałyśmy daleką dziewczynę na pamięć, ażeby

Wracamy dzisiaj do dyskusji na temat bezpieczeństwa na naszych drogach. Głos zabierają Przemysław Bystrzycki (ponownie) i Poznański Taksówkarz (nazwisko i adres znane redakcji).

Sprawa bezpieczeństwa na naszych drogach posiada wyjątkową aktualność. Po moim felietonie ukazały się w prasie poznańskiej dalsze uwagi na ten temat. Powstaje w ten sposób sytuacja dyskusyjna, aura przychylna wymianie poglądów, pierwsza, lub prawie pierwsza od wielu lat w tym mieście, w którym wiele spraw traktuje się bez własnego stosunku, tak — na słowo honoru, zgodnie z obiegowymi sędzi.

Na łamach „Głosu Tygodnia” wystąpił Eugeniusz Pauksza. Fakt, że poważny pisarz, znawca problemów społecznych i nieustraszonego działacza

Przemysław Bystrzycki

O „prawie dzungli” raz jeszcze

publiczny zechciał wypowiedzieć się w poruszanej materii — posiada swoją wymowę. Trudno nie zgodzić się z wysuniętą przez Paukszę oceną w sytuacji bezpieczeństwa i płynącymi stąd postulatami.

Nie ulega wątpliwości, iż wina dziecka (raczej rodziców dziecka, o czym pisałem), pocziwej krowiny, zaspianego chłopca na wozie bez wymanego przepięsami światła, starego sprzętu, roztargnionego lub zapędzonego przechodnia bywa niekiedy bezsporna. Mało, co prawda, słyszałem o owych bohaterskich szoferach, którzy wybrali drzewo lub przepaść, zamiast istotę ludzką — może rzeczywiście dlatego, iż nie studiowali statystyk. Wiem za to, iż 2008 zabitych w wypadkach drogowych w roku ubiegłym — to żniwo w dużej części, może w większości, ludzi za kołem sterowym samochodu, motocykla, także roweru. Ciężar zagadnienia dla mnie, przy wycinkowym i bezpośrednim — patrzeniu, leży po stronie maszyn. Wina czy bezwina, ona w końcu kaleczy i zabija. Nieostrożnego przechodnia albo rodziców dziecka, albo właściciela czworonożnego dobytka trzeba karać i pouczać, lecz po wypadku: po co? Za własną lekkomyślność poniósł karę na własnym ciele lub ciele swoich najbliższych. Sprawa zakończona.

A przecież przy ostrożniejszej, powolniejszej szczególnie jeździe, przy surowym przestrzeganiu przepisów, wyrozumiałości dla tego ślaba szego, można uniknąć, niezależnie od przyczyn istotnych, roz-

bliska dziewczyna, obecna, w tym lepszym przedstawiała się blasku i tym bardziej nam smakowała. Była to słodka, okrutna, perfidna zabawa: urodę naszej Lili Badmajew składaliśmy w ofierze czy w hołdzie tej obcej, egzotycznej piękności.

Dziwny, miły dzień, miły wieczór. Z wdzięcznością uśmiechaliśmy się do pary młodych.

ARKADY FIEDLER

Fragment z przygotowanej do druku książki Arkadego Fiedlera „Nowa przystopka — Gwinea”.

lewą krwi na drogach naszego kraju.

Z natury rzeczy muszę zagadnienie zacisnąć. Specjalnie wybrałem miasto, rozumiałem ceteris baribus wziąłem tym razem pod światło siedzących za kierownicą. Po felietonie w „Głosie Tygodnia” mówiono mi — po co tak ostro. Zawinił przechodzień, zeznali świadkowie, a tłum chciał zlinchować samochodźiarza. To są legendy na wyrost. Niepotrzebne ostrożnym i kulturalnym, ale w końcu także mało pomocne piratom.

Obserwacje z ostatnich czternastu dni: 1) taksówkarz w Warszawie:

„Wie pan, na Kole „zrobili” ruch jednokierunkowy. Niech tę milicję rak wydusi. Bo my i tak jeździmy w obie strony”. 2) Tydzień później w Krakowie na Al. Waszyngtona koło kopca Kościuszki. Pod drzewkiem przycupnął „Star” z Nowej Huty. Nie zwróciłem uwagi. Towarzysz powiedział, wskazując: „Odpoczynek, patrz, w trójkę siedzą w soferce i piją”. Gdy mijali nas stanąłem za potężnym kasztanem. Tak na wszelki wypadek, aby nie było wypadku. Powiedzą, szosa śliska, nas tylko zniosło. — Po co?... Nie będę uogólniał. Robi to statystyka.

Eugeniusz Pauksza poruszył rzecz kapitalną: rewolucji motoryzacyjnej, którą przeżywamy. Tu, w szerokim ujęciu sprawy, tkwią korzenie problemu. „Zagadnieniem socjologii wypadkowości” (termin uchu niemiły) na drogach zajął się też Feliks Fornalczyk na łamach „Ziemi Kaliskiej”. Sprawa nas wszystkich w równym stopniu obchodzi — przytaczane są na ten temat rozmowy. Jednak, powtarzam, wychowanie od nowa człowieka za kierownicą, wychowanie od nowa przechodnia, wychowanie od nowa rodziców nietroszczących się o dzieci, wprowadzenie nowych przepisów ruchu i nowego znakowania, odsunięcie — jak słusznie postuluje E. Pauksza debilów od motoru na chodzie re-kwalifikacja prawa jazdy — to kupa pracy, do której potrzeba czasu. Nie potrzeba natomiast czasu dla konsekwentnego (tu znowu pisarz ma rację) stosowania a k t u a l n y c h przepisów. Surowego stosowania, od zaraz, od dziś, od jutra, aby straty spadły gwałtownie, przynajmniej do poziomu przeciętnej światowej i aby istniejące już ramy zapewniły na razie maksimum bezpieczeństwa. W tym miejscu ponawiam apel do milicji: więcej widzieć bez zrywów akcyjnych, od święta, kiedy wypada sześć razy niepokoić wycieczkowicza na przestrzeni Poznań—Jarocin, więcej uczyć szacunku dla przepisów. Słowem — działać zapobiegawczo. Zanim stan prawny i faktyczny, pojęty jak najszerszej na tym odcinku życia społecznego się nie zmieni — i Prawo Dzungli nie straci swej okrutnej mocy.

Trochę obiektywizmu

Jestem jednym z poznańskich taksówkarzy, który czytając artykuł p. Przemysława Bystrzyckiego „Prawo dzungli” (3/4. XII. 1991 r.), stracił humor na całą niedzielę. Nie chciałem polemizować z autorem, lecz bardzo mnie i moich współkolegów dotknęły epitetu w rodzaju: inwalida za kierownicą, chamskie okrzyki itp., twierdzenie, iż jednego na trzech lub na pięciu spotyka się kulturalnych kierowców. Taki stosunek godzi w szerokie rzesze kierowców zawodowych i amatorów. Pisanie o kierowcach na Zachodzie, jakoby oni tylko mieli patent na uprzejmość, wynika z małej znajomości ruchu pieszego i kołowego tak w kraju jak i za granicą. Niejeden z kierowców był na Zachodzie, jeździł i na pewno nie spotkał się z tym, aby mu dosłownie co 5 czy 10 metrów na jeźdźnię wyskakiwał niezdyscyplinowany przechodzień.

I co tu mówić dużo o kulturze jazdy! Jestem za tym, aby MO stosowało mandaty w równej proporcji tak jak do kierowców tak i dla pieszych, a nie jak dotąd kierowca płaci 100 zł, a pieszy 5 względnie 10 zł, co nie wpływa wychowawczo na usprawnienie ruchu pieszego i krzywdzi kierowców.. W ogóle w ca-

łym artykule przejawia się chęć wyzucia autora na kierowców zawodowych, a w szczególności na taksówkarzach, gdyż wyszczególnia tylko jednego kierowcę, który pozwolił mu spokojnie przejść przez jeźdźnię, był nim dr H. Robi to wrażenie, jakby autor traktował jak ludzi tylko kierowców z fakultetami, a pozostałych jako przysłówiowych szoferów „jaśnie pana”, z którymi nigdy się nie liczone, bo uważano ich za zero społeczne.

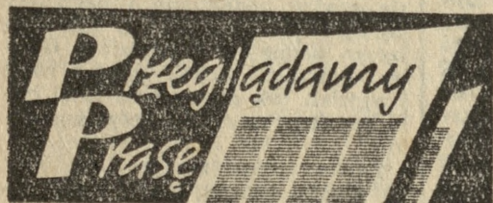
Aby otrzymać pewne rezultaty w usprawnianiu ruchu pieszego i kołowego, prasa winna zamieszczać artykuły dyskusyjne i ostrzegawcze dla pieszych w tym sensie, w jakim daje się dla kierowców: Uwaga, kierowcy, w dniu dzisiejszym spodziewana jest gołedź! Ostrzeżenia winny dotyczyć lekkomyślnych przechodniów, przez których nieraz kierowca wpada w poślizg i powoduje wypadek; właściwy sprawca odchodź, a kierowca ponosi zawsze konsekwencję. Trzeba trochę obiektywizmu, a życie i praca kierowcy stanie się łatwiejsza i przyjemniejsza, wzajemny zaś stosunek ludzi zza kierownicy do pieszych i na odwrót będzie taki, jaki autor widział na White Hallu w Londynie.

POZNAŃSKI TAKSÓWKARZ

Życie



Z fototeki J. Myszkowskiego



20 rocznica powstania PPR

Coraz więcej miejsca zajmują w tygodnikach i dwutygodnikach artykuły, reportaże, wspomnienia itp. poświęcone XX rocznicy powstania PPR. „Życie Literackie” zamieszcza artykuł Władysława Machajki pt. „PPR była potrzebna narodowi polskiemu”, w „Polityce” warto przeczytać interesujące wspomnienia Stanisława Januszewskiego, który w czasie okupacji był kierownikiem centralnego kolportażu Polskiej Partii Robotniczej; wspomnienia te zażyłowane są „Centralny kolportaż”. „Tygodnik Demokratyczny” opublikował artykuł Ludwika Krasuckiego pt. „U źródeł nowej Polski”. Autor omawia warunki historyczne, w jakich powstawała PPR, jej program polityczny, jej orientację w walce wyzwoleniczej.

Dyrektor — partyzant

Ostatnio coraz częściej odzywają się głosy publicystów na temat sytuacji dyrektora. „Polityka” poświęca tej sprawie niemal dwie kolumny wypowiedzi uczestników spotkania zorganizowanego przez redakcję. W spotkaniu tym wzięli udział wiceminister przemysłu lekkiego,

adwokat pracownik Wydziału Ekonomicznego KC PZPR, prokurator Generalnej Prokuratury, redaktor „Trybuny Ludu”, redaktor „Polityki” oraz dyrektorzy. Rozmowa dotyczy bardzo istotnych spraw: czy można żyć w zgodzie z licznymi przepisami, ustawami, decyzjami resortów, itp., rozwijając równocześnie własną placówkę produkcyjną? W jakim miejscu kończy się godny pochwały dynamizm dyrektora, a zaczyna samowola? Czy warto ryzykować posunięcie subiektywnie pomyślane jako krok naprzód dla danego zakładu, dla gospodarki narodowej, ale obiektywnie sprzeczne z normalnymi zasadami? Mówi dyrektor:

„Przedsiębiorstwo, którym kieruję, zatrudnia 2.600 ludzi. Byłem na bakier z przepisami. Chodziło o 3.000 zł. Zarzucano mi nadużycie w wysokości 27 złotych. Każdy powiadał: to jest bzdura. W konsekwencji siedziałem na ławie oskarżonych, aby w końcu zostać uniewinnionym”.

Inny uczestnik mówi o tym, jak konstruowano jakieś specjalne urządzenie posiadające ogromne znaczenie gospodarcze. Kiedy już konstrukcja była w 90 proc. ukończona i wydatkowano na nią 1.100 tys. złotych, resort zdecydował: przerwanie prac, uzasadniając to rzekomą nieprzeżywalnością tej konstrukcji. Dyrektor na własną rękę dokończył jednak dzieła i w rezultacie urządzenie zdało egzamin a dyrektor otrzymał pochwałę. Refleksja dyrektora: „a gdyby mi się nie powiodło?”

Ile przedsiębiorstw, ilu dyrektorów, tyle wiecznych dyalematów między przepisem i martwą literą, a najżywciozniejszymi interesami placówki i gospodarki narodowej. Wydaje się konieczne

stworzenie osobom odpowiedzialnym za zakłady produkcyjne pewnych — w granicach rozsądku utraconych — luzów na podejmowanie własnych i słuszych decyzji. Dopóki to nie nastąpi, dopóki konflikt między teorią (czytaj: przepisami) a praktyką zdarzać się będzie bardzo często.

Działwa czeka na kinematograf

„Głos Nauczycielski” w artykule Stefana Skrobiszewskiego pt. „A działwa czeka cierpliwie” porusza kapitalny w nowoczesnym nauczaniu problem filmów oświatowych. Niestety, mimo niewątpliwych osiągnięć kinematografii szkolnej mimo coraz większej liczby interesujących filmów dźwiękowych, a nawet — kolorowych, będących olbrzymią pomocą w nauczaniu takich przedmiotów jak geografia, wychowanie estetyczne, biologia itp., mimo to wszystko, film w nauczaniu nie odgrywa właściwej roli. Przyczyna? Po prostu nie dotarł film do szkoły na co dzień. Jest instrukcja Ministerstwa Oświaty, są książki poświęcone filmom, są omówienia tych filmów, są nawet liczne kursy zapoznające z obsługą projektora, ale to wszystko jakoś nie może wprowadzić filmu pod dach szkoły. Również — zdaniem autora — pewna część nauczycieli zrutowizowanych nieufnie odnosi się do rewolucji filmowej.

Od siebie chciałbym tu dodać, że również bardzo ważna jest sprawa zaopatrzenia szkół w projektory. Najlepsze filmy, najbardziej przekonani do tej metody nauczyciele, i dziesiątki kursów — na nic się zdadzą, jeżeli szkoły nie będą miały odpowiedniej ilości sprzętu. W szkołach naszego

województwa projektorów nadal brak, zwłaszcza w szkołach wiejskich. W innych województwach — na pewno nie jest lepiej. Szkoda, że autor artykułu nie poruszył i tej sprawy.

To był dobry rok

Tak zatytułował „Tygodnik Demokratyczny” wypowiedzi przewodniczących wszystkich prezydów wojewódzkich rad narodowych oraz rad narodowych miast wydzielonych. Wśród nich znalazły się wypowiedzi przewodniczącego Prezydium WRN w Poznaniu Franciszka Szczerebala i przewodniczącego Prezydium RN m. Poznania Jerzego Kusiaka. Franciszek Szczerebał mówi m. i. n.:

„...Osiągnięte w 1991 r. wyniki produkcyjne wielkopolskiego rolnictwa uważamy za nasz zasadniczy sukces. Osiągnęliśmy w tym roku z jednego hektara 19,4 kwintala zboża, 148 kwintali ziemniaków i 274 kwintale buraków cukrowych... Znaczenie lepsze niż w latach ubiegłych były również plony rzepaku oraz siana, lucerny i koniczyny. Pozwoliło to z kolei na osiągnięcie dalszego wzrostu ilości bydła o 80 tysięcy sztuk i trzody o 240 tysięcy sztuk, tak, że obecnie mamy już w województwie 852 tysiące sztuk bydła i 1724 tysiące sztuk trzody chlewniej... Całkowita wartość produkcji wielkopolskiego przemysłu zwiększyła się w 1991 r. o około 3,5 miliarda złotych. Przemysł terenowy, podległy radom narodowym, równie pomysłnie realizuje swoje zadania produkcyjne. Należy tu podkreślić, że produkcja globalna przemysłu terenowego rośnie w województwie poznańskim szybciej niż produkcja globalna całego przemysłu”.

LEKTOR